

Robota intymna (1)

Bogdan Sobieszek: Właśnie otrzymałeś złotą Glorię Artis. Zasłużony dla kultury - co to dla Ciebie znaczy?

Jan Jakub Kolski: Dobrze jest nie oglądać się na nagrody i honory, bo one nieco znieczulają. Obraz świata widziany zza nagród jest wprawdzie bardzo miły, ale lepiej się do niego nie przyzwyczajać. Zresztą kiedy pracuje się pilnie, w znoju, w zgodzie ze sobą, to prędzej czy później ktoś dostrzeże rezultat i uzna, że jest wart szacunku. U mnie najwyraźniej taki moment właśnie następuje. Gloria Artis to wielkie wyróżnienie, przyjmuje je jako wyraz uznania dla mojej pracy, ale ta praca jest ciągle w toku.

Tytuły, które otwierają twoją filmografię, powstały w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. Jak wspominasz tamte czasy?

Muszę dołączyć do chóru tych, którzy chwalą swój czas zawodowy spędzony w WFO. Cokolwiek dobrego mówią o wytwórni z okresu, kiedy pracowaliśmy w niej jako młodzi ludzie, mówią prawdę. To był czas otwierania głów i serc, zawiązywania zawodowych i ludzkich przyjaźni. Tak, WFO była miejscem wyjątkowym w każdym sensie. Głównie przez ludzi, którzy twórczo i odważnie określali jej kształt. Takim człowiekiem był bez wątpienia pan Maciej Łukowski, Maciek, bo później cieszyłem się jego przyjaźnią - robiłem zdjęcia do jego filmów, kiedy już przestał być dyrektorem. Doskonale pamiętam, jak pojawiliśmy się tam z Jarkiem Żamojdą jako studenci, żeby wywoływać taśmę do naszych filmów szkolnych albo pożyczać sprzęt, którego nie było w szkole. Na głos formułowaliśmy wówczas marzenia, że kiedyś dołączymy do tej kolorowej rodziny. I stało się. W tamtym czasie byłem grotolazem i chciałem tę okazję wykorzystać do zejścia z kamerą pod ziemię. Napisałem więc scenariusz, przy którym pomagał mi Jarek. To była „Najpiękniejsza jaskinia świata”... Tak. Zabiegi o to, żeby ten film zrealizować, a byłem wtedy na drugim roku, zacząłem od dość naiwnego działania - od prośby o możliwość spotkania z dyrektorem WFO, złożonej na ręce sekretarki. Bardzo miła pani poprosiła, żebym to napisał na papierze i zostawił u niej. Nie doszło do spotkania za pierwszym razem, nie powiodło się za drugim. Kiedy w końcu się udało się, pan dyrektor ze srogą miną zażądał ode mnie... uprawnień speleologa i filmowca. Na szczęście miałem i jedno i drugie, a nawet naddatek w postaci uprawnień asystenta operatora I kategorii. Ostatecznie, za siedemnastym razem, nieco już mną zmęczony dyrektor Łukowski wreszcie się ugiął i podpisał decyzję o realizacji tego filmu. Zrobiliśmy go z Jarkiem Żamojdą na spółkę, zostawiając trochę zdrowia w tych jaskiniach, ale film zdobył sporo nagród i otworzył mi drogę do kolejnych realizacji.

Mija 30 lat od twojego debiutu fabularnego, którym był „Pogrzeb kartofla”. Zaistniałeś jako twórca bardzo oryginalny, posługujący się swoistym językiem filmowym, który krytycy określali czasem jako „realizm magiczny”. Jak ty byś dzisiaj opisał swój charakter pisma?

Nie opisałbym go, bo się tym nie zajmuję. Nie przyglądam się sobie zbyt dociekliwie, żeby nie stracić ciekawości i uważności w przyglądaniu się światu. Zresztą przystaję na taki jego podział, w którym z jednej strony są twórcy, z drugiej ci, którzy opisują twórczość. To uprawniony i właściwie... szczęśliwy podział, bo dostajemy wiele perspektyw, czasem ciekawych, czasem - przynajmniej - irytujących, ostatecznie dających szeroki ogląd tego, co wychodzi spod naszych rąk. [...]

Rozm. Bogdan Sobieszek

Cały wywiad do przeczytania w "Kalejdoskopie" 03/20. Do kupienia w Łódzkim Domu Kultury,

punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press w salonach empik i łódzkiej Księgarni Ossolineum (Piotrkowska 181). A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu): [TUTAJ](#)

Możecie też słuchać naszych najlepszych tekstów w interpretacjach aktorów scen łódzkich, z Łodzią i regionem związanych na platformie "Kalejdoskop NaGłos": [TUTAJ](#)